

Znak żółwia



Eugeniusz Paukšta

Eugeniusz Paukšta

ZNAK ŻÓŁWIA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-35-7

Copyright © Eugeniusz Paukšta

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

1.

Wysłużony star trząsł niemiłosiernie, jazgotał wnętrzościami. Spod kół tryskały fontanny błotnistej wody. Młody kierowca miał mocny głos. Sfałszowana melodia dobiegała aż do dwóch chłopców przytulonych do siebie za szoferką i próżno usiłujących osłonić się przemoczoną plandeką przed rannym ziąbem.

– Że też musiał zabrać tę sikse, zmieścilibyśmy się, gdyby nie ona, w szoferce... Ale ziąb.

Wysoki, o chudej, pociągłej twarzy blondyn wykrzykiwał te słowa do uszu kolegi o zielonkawo, sprytnie pobłyskujących oczach. Wpatrzony był w malejące w oddali wieże kościołów Międzyrzecza, w narastające zwarte kompleksy lasów, w mgły zwiewnym tumanem unoszące się nad łąkami.

– Będzie pogoda – wskazał na słońce przebijające się przez zwały chmur, od tygodnia nieprzerwanie wiszących nad ziemią i zlewających ją ponad wszelkie oczekiwanie.

Na spadzie drogi star wepchnął się w olbrzymią kałużę: parł naprzód jak polewaczka na ulicach Warszawy, brudne i zimne bryzgi sięgały aż na platformę.

– O, właśnie – obrzydliwym grymasem skwitował blondyn uwagę kumpla, ścierając z nosa solidną pecynę błota.

Asfaltowa szosa dawno już musiała nie widzieć drogowców, maszyną rzucało niesamowicie, prysznice coraz to zlewały niefortunnych amatorów turystyki na platformie załadowanej pustą beką po benzynie.

Kierowca był w doskonałym nastroju. Głos jego tym silniej niósł się z szoferki, im bardziej podrzucało starem na wertepach bocznej drogi. Narastał warkot motoru, drzewa przydrożne śmigły w zwiększającym się tempie.

Brunecik o zielonkawych oczach pokręcił głową, odrzucił nieprzydatną na nic, przemoczoną i ciężką plandekę, zajął przez okienko do wnętrza szoferki. Dziewczyna złożyła głowę na ramieniu kierowcy, ten śpiewał nadal; lekko przygięty wpierał nogę w gaz, jakby od tego zależały jego dalsze szanse u niebrydkiej współtowarzyszki podróży.

– Nic nie pomoże... popisy przed cizią – wrzasnął w ucho chudemu dryblasowi. Ten z rezygnacją co chwila ścierał błoto gęsto osiadające na twarzy.

Motor wyl na pełnych obrotach. Już nawet śpiewu kierowcy nie było słychać. Z lasów wyrwali na otwarte pola, na horyzoncie dopiero zamknięte ciemnym pasem drzew. Brunecik znów zerknął w okienko. Strzałka szybkościomierza zdecydowanie wychylała się poza osiemdziesiątkę.

Pasażerowie na platformie, smagani przenikliwym wiatrem, skulili się przy sobie i obojętni na wszystko czekali ze stoicyzmem końca tej nieprzytomnej jazdy. W Sulęcinie na pewno się kierowca zatrzyma, wysiądą, dostanie chłopys swoje kupony autostopowe i cześć.

Szosa spadała teraz ku dołowi ostrą stromizną. Znak ostrzegawczy przed zakrętem czerniał cyferką 5. Kierowcy zdawało się to nie obchodzić, co chwila tylko naciskał klakson, równie roztrzęsiony jak cały samochód. Przenikliwe wycie wdzierało się w spokój lasów i pól, spędzając do rowów rzadkich przechodniów.

Na pierwszym zakręcie szofer nie zwolnił, przy drugim zahamował leciutko, mimo to zarzuciło na śliskim asfalcie tylnymi kołami, autostopowicze jak ulęgałki przetoczyli się spod szoferki na burtę i upaprali do reszty w błocie oblepiającym całą platformę.

– Pieska jego niebieska – zaklął soczyście dryblas.

Spad kończył się, przed nimi wyrosły z rzadka rozrzucone domy, jeszcze jeden zakręt, kierowca bezskutecznie spróbował hamować, ścięcie było zbyt ostre nawet jak na jego kawalerskie zapędy. Koła przeszły w poślizg, starem zarzuciło z prawa na lewo, z lewa na prawo, jeszcze raz, a potem motor nagle zacichł, wóz sunął tylko siłą rozpędu, jeszcze zatańczył, na nic wszystko, wielkie, przerażająco wielkie drzewo wyrosło przed nimi,

zawadzili o nie lewą burtą, trzask, jazgot, grzmot, wszystko się skielbało, skłębiło, ciężarówka zsunęła się bokiem do rowu, przez moment balansowała, jakoś utrzymywała równowagę.

Cisza, niesamowita cisza. A potem w brzęku sypiącego się szkła rozbitej szyby doszło przeciągłe, pełne zdumienia i trwogi:

– Cholera!

Z tym słowem ożyło wszystko. Dziewczyna zapiszczała cienko, cieniutko, rozdarła się zaraz spazmatycznym szlochem. Pasażerowie na platformie, zbierając się z wysiłkiem do kupy, jeszcze niepewni, co z nich pozostało, również odzyskiwali rezon.

– Choleruje teraz, kawaler wyścigowej jazdy.

– Że też takich pętaków sadzają za kierownicą.

– Jakoś żyjemy. Dobrze, że dziewczucha tylko przeciętna z urody. Gdyby przy tym neptku zamiast niej siedziała Bardotka, już byśmy na pewno słowa pisnąć nigdy nie mogli... O kurczę blade, co z moją nogą?

– Jak tam, nic się nie stało, nic? – ocierając krew rozmazaną na twarzy, kierowca wspinał się na palce, by zajrzeć przez burtę.

– Sami się pozbieramy, ciemna maso, zajmij się swoją facetką...

Nie było to wcale proste. Dziewucha płakała, jęczała, pokrzykiwała, nie można się było od niej niczego dowiedzieć. Pocierając solidnie stłuczone boki, brunecik przy pomocy kierowcy wyciągnął ją z szoferki straszącej rozbitymi szybami i pogiętą blachą, dziewczyna całą twarz i włosy miała we krwi, rany jednak przy pierwszym wejrzeniu nie można było dojrzeć.

– Co pani jest?

– Ajajaj, ajajaj, mamó moja, mamó, ajajaj...

– Teraz mamó, ale przedtem, jak się tuliliśmy do kierowcy, mama nie była potrzebna, co? – sarknął gniewnie brunecik.

Jeszcze raz spojrzął na dziewczynę, na kierowcę bezradnie stojącego obok, z przerażeniem w maleńkich oczkach, trochę niezgrabnie zaczął przesuwając dłonią najpierw po głowie Dziewczyny, szukając rany, potem powiódł po szyi, rękach i ramionach. Sweterek również zapaćkany był krwią, wydało mu się że rozerwany w którymś miejscu, dotknął tam dłonią, ledwie zdążył wyczuć szybki rytm podnoszących się piersi, gdy dziewczyna w jednej sekundzie zaprzestała szlochu, wrzasnęła natomiast głosem silnym jak surmy bojowe:

– Weź pan tę rękę, patrzcie, jaki amator się znalazł. Oho, ja nie taka...

– Heniek, zostaw tę grację, zdrowsza od nas wszystkich, pomóż mi lepiej zejść. Coś stało się z moją nogą...

Skoczył ku niemu wraz z kierowcą. Zostawiona sama sobie dziewczyna zaczęła od nowa zawodzić. Nie zwracali już na nią uwagi.

– O, lichó, ależ rwie... Coś mi wygląda na koniec autostopowej włóczędzy... Żeby tylko nie była złamana.

Ściągnęli go z wozu dopiero po opuszczeniu burty. Chudzielec niby, a ciężki był, jakby go ktoś ponadziewał kamieniami. Usiadł teraz na skraju rowu, rozcierał ostrożnie prawą nogę w okolicach kostki. Heniek przyklęknął przy nim, obmacywał z pewną wprawą. Towarzysz jego skrzywił się, zaraz coś sobie przypomniał, zajęczał oburzonym tonem:

– Patrzcie, jaki amator się znalazł. O, ja nie taki...

Rozładował się nastrój. Na odezwanie Romana kierowcy i Heniek buchnęli śmiechem. Obrażona dziewczyna odeszła parę kroków i obróciła się do nich tyłem.

– A niechże ją – spluwając pod nogi zaklął niefortunny szofer. – Mam trasę na Kostrzyn, jechałbym sobie dobrą drogą przez Skwierzynę, ale właśnie musiała się znaleźć, błagać i prosić, że to musi koniecznie do Ośna. Myślę sobie, wiele nie nadłożę, skręcę do

Międzyrzecza przez Sulęcín, było nie było parę tych kilometrów. A teraz taki koniec – machnął dłonią w kierunku stara.

– Ma pan ranę – Heniek dopiero co zauważył rozharataną dłoń chłopca.

– Guzik, opatrzy się potem... Jak teraz wykaraskać się z tej kabały? Zobaczę, czy motor gra.

Wpakował się do szoferki, zapuścił, maszyna zaburczała zgrzytliwie.

– Dobra jest, tylko jak wypakować się z tego rowu? Szczęście, że nie nadzialiśmy się na drzewko, byłaby kasza z nas wszystkich, a tak, trochę strachu i mokre majtki u panny.

– Te, chłopyś, zostaw ją. Sameś przedtem strugał przed nią wariata, teraz mścić się chcesz na dziewczynie? – postępując Roman groźnie spoglądał ku kierowcy.

– A tyś co za jeden? Gadam co chcę...

– Spokojnie, spokojnie – Heniek przybliżył się o krok, łypnął zielonymi oczyma, zacisnął pięści.

Kierowca skapitulował. Bił się jeszcze będzie z jakimiś pętakami, gdy i tak kłopotu co niemiara na głowie?

– Dobra, już dobra, co tu tylko zaradzić? Gdy dam tylny bieg, to się wpakujemy do rowu. Żeby tak druga maszyna, toby nas podciągnęła... Nie chciałbym stracić prawa jazdy ani roboty, dopiero pół roku jeżdżę. Tamto – wskazał na pokiereszowaną szoferkę – załata się jakoś. Dwa patyki się straci, bywa gorzej.

– Ale grzeje, nareszcie ciepło, i właśnie teraz z tą nogą – Roman przeciągnął się w słońcu. Syknął, zabolalo bardziej przy nieostrożnym ruchu. – Tam, zdaje się, coś pyka na górze?

– Traktor, jak mamę kocham – ucieszył się kierowca. – Żeby tylko jakieś morowe chłopaki, bo to różna wiara się zdarza.

Wolniutko, hamując ostrożnie, zsuwał się z wzniesienia masywny ursus z przyczepą, wolno brał zakręty, chwilami nikał, znów wyłaniał się coraz bliżej. Kierowca z daleka już wymachiwał ku nim dłońmi.

– Co jest? Kraksa? Ale życie? – piegowaty chłopiec o pyzatej twarzy biegł ku nim. – Poślizg?

– Aha – przytaknął szofer. – Pomożecie nam wykaraskać się? Motor gra, byle na drogę...

– Zaraz, zaraz. A temu co się stało? – wskazał na Romana. – Ta czego znów płacze? We krwi? Wy też? Toście się jednak poharatali... Przedtem was zawiozę na punkt, pół kilometra stąd uruchomili, bo na tych zakrętach coraz się coś dzieje. Trzy dni temu motocykl skoziółkował, chłopyś jeszcze leży w szpitalu, o świecie nie wiedząc. No, pakujcie się...

– Ja zaczekam, mnie tam nic nie jest – kierowca stracił humor. Zależało mu na pośpiechu.

– Wolnego, wolnego. Przedtem pierwsza pomoc ludziom, potem maszynie, nie tak?

– No pewnie – nie bez złośliwej satysfakcji potwierdził Roman, obserwując niepokój kierowcy ciężarówki.

– Tam dalej – pyzaty piegus z ciągnika już wskazywał ręką w stronę lasu – jest wielki PGR, mają takie dwa stary, szoferaki swoja wiara, na pewno pomogą wyklepać facjatę wozu. Boisz się kolega o prawo, nie tak? – wykrzywił gębę do kierowcy.

Romana musieli wziąć na ręce i położyć na deski platformy. Noga bolała coraz silniej, przybladł, twarz wykrzywił w dziwnym skurczu. Traktor zapykał mocniej, drgnął z miejsca, ruszyli.

Przy każdym podrzucie Roman posykiwał boleśnie. Heniek i jadący przyczepą dwaj robotnicy podtrzymywali go, jak mogli. Kierowca ze stara oglądał się stroskany za swoją maszyną, mruczał pod nosem. Dziewczyna odsunęła się w kąt platformy.

Gdy przejeżdżali przez most wsparty na żelaznych dźwigarach nad dziwnie szeroką rzeczką, Heniek zauważył wyraźne podniecenie towarzyszących im robotników. Wychylali się, patrzyli na wodę, żółtą jakąś i spienioną, sięgającą niemal brzegów rozsiadłych szeroko łąk, pokazywali coś z ożywieniem palcami. Traktorzysta przyhamował, mijał most bardzo ostrożnie.

Czyżby tak wylało po tych cholernych deszczach – pomyślał zielonooki chłopak wsłuchując się w poszum spienionego nurtu, ale nie miał już czasu rozmyślać nad groźbą powodzi, słońce zresztą świeciło teraz zbyt mocno, deszcz nie padał pierwszy raz od wielu dni. Zbliżali się do niewielkiego domu przy samej drodze, nad którym widniała tablica ze znakiem Czerwonego Krzyża.

Podobał się Heńkowi ten domek, niewielki, schludnie otynkowany na biało, z malwami w ogródku. Spodobał jeszcze bardziej, gdy traktor przyhamował zjeżdżając w bok szosy, a na podwórze wyjrzała szczupła dziewczyna o zaciekawionym, wejrzeniu błękitnych oczu.

– Wysiadka, karawaniarze – zarechotał piegowaty traktorzysta, pakując się na platformę, by pomóc zejść Romanowi.

Kierowca stara ze wściekłością spojrział na swą niedawną towarzyszkę, która na widok Czerwonego Krzyża zaczęła szlochać tak rozpaczliwie, jakby spotkało ją największe nieszczęście.

– Co się stało? Kraksa? Coś poważnego? Nieście go do domu...

Mówiąc to szczupła i, jak się wydało Heńkowi, cholernie ładna dziewczyna pierwsza zawróciła ku malutkiemu gankowi, znikając zaraz w otwartych szeroko drzwiach.

Po chwili znów się pokazała, tym razem w obcisłym fartuchu pielęgniarki.

– Będiesz miał pocieszycielkę – szepnął Heniek do Romana pomagając go wnieść do wnętrza mieszkania. Dryblasowi daleko wszakże było do podziwiania urody ewentualnej pocieszycielki. Stękał boleśnie, przybladł, coś z tą nogą mocno musiało być nie w porządku.

Stłoczyli się w ciasnym pomieszczeniu całą gromadą, bo traktorzysta i robotnicy również byli ciekawi. Sanitariuszka raźnie objęła komendę.

– Józek – mówiła do pyzatego piegusa. – Tu są miednice, śmigaj po wodę, niech się najpierw ta pani obmyje. – Spojrzała na kierowcę stara. – Tu też się przyda, bo nie poznać, gdzie skaleczenie, gdzie rozmazana krew. Aleście się upaprali...

Towarzyszka kierowcy wybuchnęła przeraźliwym szlochem. Sanitariuszka spojrzyła na nią uważnie, odstaąpiła na chwilę od nogi Romana, którą się już zajęła, do małej szklaneczki wlała pokaźną ilość brunatnych kropelek, dolała wody.

– Proszę to wypić, świetnie robi na nerwy. I myć się zaraz. Potem będzie pora na płacz.

Mówiła stanowczo, rozkazująco. Heniek zauważył ze zdziwieniem, jak płaczliwa pannica natychmiast się uspokoiła, połknęła jednym haustem porcję waleriany, zaczęła się chlapać w podsunętej misce z wodą.

– Aniele, nie tak ostro – syknął Roman, gdy dziewczyna zręcznie odwinęła nogawkę jego spodni, zzuła trampki i przepoconą skarpetkę, pokręciła nosem na widok solidnie brudnej nogi. – To z tego błota, jak Bożię kocham... – zawstydził się chłopak.

Watą maczaną w spirytusie usunęła brud, naciskając, zbadła nogę w przegubie. Roman syczał, nie zwracała na to uwagi. Skąd ona ma taką wprawę? – myślał Heniek.

W tej chwili dziewczyna spojrzała na niego.

– A pan czemu się dotąd nie umył? Tutaj nie ma nic specjalnie groźnego. Najwyżej zwichnięcie, w każdym razie nie złamanie. Boli, bo posiniaczona w dodatku.

– Ta cholerna beczka od benzyny nie zabezpieczona była na wozie... – niechętnie zerknął na kierowcę.

– Trzeba było się nie pakować, ja was nie zapraszałem...

– Spokój, panowie, potem będziecie się kłócić. Na nogę pójdzie opatrunek z wody Burowa, potem zobaczymy, co dalej. Teraz niech pan leży spokojnie. Pani znów płacze? Że

co? Krew? Nic groźnego, dobrze, że pani żyje. Mogło być tak, jak z osobówką przed miesiącem. Dwa trupy, trzeci pasażer jeszcze się kuruje w szpitalu. – Zajęła się teraz dziewczyną, uśmiechnęła leciutko. – Krew to z nosa, na zadrapanie koło ucha wystarczy plasterek, o tak, jeszcze na dłoni, to nie rany, głupstwo.

Kierowca miał solidnie pociachaną lewą rękę w napiętku. Nim dziewczyna musiała zająć się dłużej. U Heńka natomiast skończyło się na pacnięciu jodyną.

– Koniec. Najgorzej z panem. Wygląda że z chodzeniem na jakiś tydzień trzeba dać spokój. W każdym razie kości całe, na resztę coś się zaradzi.

Kierowca rozmawiał na ganku z traktorzystą i robotnikami.

– Wszystko przez tę siksę – kierowca stara już wyzwolił się spod uroku płaczliwej dziewczyny.

Ona natomiast miała pretensje do niego. Podniesionym głosem żądała, by ją odwiózł z powrotem do Międzyrzecza, nie będzie tu tkwiła przecież do śmierci.

– A cóżem to ja z panną ślub brał? Na odstawkę szukaj sobie panna innego frajera.

– Często przyjeżdżają tu ciężarówki, najlepiej ich wyglądać na szosie. Na upartego za cztery, pięć godzin piechotą zająć można do Międzyrzecza, stamtąd już kolej i PKS chodzi – któryś z robotników zażartował z dziewczyny.

Chciała coś odpowiedzieć, zmilczała jednak, odwróciła się z obrażoną miną i niepewnym krokiem pomaszerowała w kierunku szosy.

Traktorzysta zawracał ursusa. Heniek miał chwilkę czasu. Wpadł galopem do małej izdebki, zamienionej na prowizoryczne ambulatorium. Roman z ożywieniem rozmawiał z pielęgniarką.

– Wiesz – zwrócił się do wchodzącego kolegi. – Tędy co drugi dzień przejeżdża lekarz z Międzyrzecza do Sulęcina. Dzisiaj też powinien tu lecieć. Obejrzy nogę, zawsze to lepiej. Potem zobaczymy, co dalej.

Heniek widział, że oczy kumpla błyskały ożywieniem, coraz to zahaczając o zgrabną sylwetkę pielęgniarki. Uśmiechnął się.

– Idę pomóc wyciągnąć stara. Już trąbią – próbował się usprawiedliwić, że zostawia kolegę.

Roman niedbale, skinął mu dłonią. Wyglądało na to, że zaczyna mu się podobać rola chorego.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Heniek stwierdził z zadowoleniem, że nie omyliło go pierwsze wrażenie. Ładna była naprawdę.

Klakson traktora wył za oknem ponagłająco. Wyskoczył na próg.

2.

Parno było tak niesamowicie, jakby piekło zstąpiło w ten dzień lipcowy na ziemię. Napita upustami deszczów gleba pokrywała się zwiewnymi mgłami, drzewa stały milczące jak obumarłe, krowy udręczone kładły się na pastwiskach, ludzie nieustannie ocierali pot z czoła, niespokojnie popatrując na intensywnie błękitne niebo. Tylko brzegami horyzontu tłukły się cienie czarnych chmurzysk, z oddali nadbiegały długie, przytłumione dudnienia gromów.

– Hoop! I jeszcze go raz!

Wparli się w prawą burtę, podtrzymywali niebezpiecznie przechylającego się stara. Przednie koło zabuksowało, dopiero po chwili protektory złapały twardszy grunt. Ciągnik wolniutko rwał w górę. Ciężarówka w ślad za nim wycofywała się na tylnym biegu.

– Dooość!

Kierowca wyskoczył z szoferki czerwony jak świeżo ugotowany rak. Rękawem ocierał z czoła pot zalewający mu oczy. Mrugał powiekami, patrzył przez chwilę na pień drzewa bielejący mięszem spod zerwanych płatów kory.

– Dziękuję, żeby nie wy...

– No, więcej nas się tutaj zebrało – zaśmiał się traktorzysta, dłonią wskazując sporą gromadkę skupioną przy maszynach.

Heniek też się zdumiał, gdy na miejscu kraksy zobaczył pokaźny już tłumek. Ludzie jak muchy ciągną zawsze do każdej sensacji. Tym razem przydali się, trudno byłoby uwolnić stara od wywrócenia się na skosie rowu.

– Już pojechała ta smarkula, osobówką się urządziła – zwrócił się do niego kierowca, wskazując twarz dziewczyny widniejącą za szybą wolniutko mijającego ich opla.

Uśmiechnięta była, ani śladu po płaczliwym nastroju. – Jedziemy razem?

– Przejdę się ten kawałek, rzekę obejrzę. – Heniek miał już stara po uszy.

Przysiadł na skraju szosy.

Co u licha jest z tym upałem? Skwierczy człowiek na żarze jak skwarek na patelni. Żeby znów nie padało...

Traktor zapykał mocniej, za nim ruszyła ciężarówka. Opustoszało na asfalcie. Tylko jakiś mały chłopak o bystrym wejrzeniu ciemnych oczu stał jeszcze oparty o stary damski rower, ciekawym spojrzeniem badał odarte z kory drzewo, schylał się szukając na wilgotnym gruncie śladów opon. Potem przyjrzał się dokładnie Heńkowi i przysunął się bliżej ze swoim rowerem.

– Pan też jechał tym karawanem? Ładnie was rzucało po szosie. Tamtą warszawę, co to aż dwa trupy były, też widziałem, tylko na kraksę z motocyklem nie zdążyłem, jakoś szybko ich pozbiali... Ja też będę kierowcą. Ale się nie rozbiję.

Zdenerwował go pęta. Obrócił się w jego stronę.

– Takiś pewny?

– A pewny. Głupi tylko na śliskiej szosie rwie pełnym gazem po takich zakrętach. Pomyślunek mieć trzeba.

– Oho. A ty go masz?

– Mam. Matka mówi, że aż za dużo.

Heniek zaśmiał się, w tejże chwili drgnął zaskoczony, zmartwiał na chwilę. Nie wiadomo skąd nagle pojawił się olbrzymi kudłaty pies, z mordą spiczastą jak u wilka; poufale zabrał się do obwąchiwania, nawet po kolanie polizał Heńka nagrzanym ozorem.

– Niech pan nie nawala, przy mnie on nic nie robi. Lubusz, do nogi. Że też go pan nie widział, cały czas tu był razem. Mądry jest, z pomyślunkiem.

– Jak ty?

– Może i z większym – urwał, nasłuchując przez chwilę. – Słyszysz pan, znowu grzmi. Parzy. Będzie deszcz. A jeżeli popada przez parę dni, rzeka wyleje. Dopiero się raban zrobi, ryby potem będzie się zbierać po wadołach.

Heniek leniwie podniósł się z miejsca. Nie ma sensu tu siedzieć, uprzyżyć się można. Trzeba też się wywiedzieć, co z Romanem.

– Do kolegi pan idzie? Jedna nam droga. Bo Kryśka to moja siostra stryjeczna. Fajna babka, prawda?

Heniek wybuchnął śmiechem. To dopiero braciszek. W każdym razie ma dobre mniemanie o swojej kuzynce. Podobał mu się pęta. Z powagą wyciągnął rękę.

– Kubiak jestem...

– O, to pan na pewno pyra poznańska. Tam same Kubiaki i Nowaki... U nas, co który z tamtych stron, też się Kubiak albo Nowak nazywa... Dobrze, że już się poznajomiliśmy. Ja jestem Malicki. Benek. Od Benona, takie głupie imię mi dali, chłopaki przezywały w szkole, prędko ich jednak uspokoiłem.

- A jakże to zrobiłeś, Benek?
- Po uszach dostali. Proste.

Stanęli na moście. Heńkowi wydało się, jakby woda rozlała się jeszcze szerzej, a prąd stał się bardziej wartki od czasu, gdy traktor wioził ich na punkt opatrunkowy. W ciszy stojącej w powietrzu szum spienionej, brudnej wody był wyraźnie niepokojący. Aż na ich twarze leciały krople, tak chlustała o pale, kipiała wśród nich, napierała z olbrzymią siłą.

– Mocny most, nie zwali go – jakby dopowiadając jego myślom, odezwał się Benek. I zaraz rozkrzyczał się nakazująco: – Lubusz, do nogi, Lubusz. Ja ci pokażę, głuptaku.

Pies zbiegł na łąkę, zanurzył łapy w wartkim prądzie, nadrywającym kawały darni, tęsknie popiskiwał. Niechętnie zawrócił na wołanie chłopca, przysiadł przy nim ze skulonym ogonem.

– To mieszaniec, jego ojciec był wodołazem, wie pan, takie psy specjalne. Lubusz też żyć bez wody nie może, pływa, że każdemu poradzi. Nawet mnie... O, idzie stryjaszek. Dzień dobry.

Starszy człowiek w mundurze dróżnika szedł ciężkim krokiem z łopatą na ramieniu. Poważnym spojrzeniem obrzucał wezbrany nurt. Głową tylko odpowiadając na przywitanie chłopca, przykląkł na moście i przechylił się w dół, wyglądając czegoś pod spodem. Podniósł się, odruchowo otrząpął kolana, przybliżył się do Heńka i sprytnego bratanka.

– Dzień dobry... Żeby tylko pozostał dobry. Znów od rana przybrała osiem centymetrów. Od dwóch dni mamy stan ponad najwyższą normę. Nie daj Bóg, żeby wylała, co to straty by ludziom przyniosło...

Spojrzał na niebo, westchnął, wąsiska obwisły mu smutnie. Heńkowi nasunęło się spostrzeżenie, że jakimś trafem większość dróżników poszczycić się może wąsami.

– To pana córka nas opatrywała? – przypomniał sobie, że obok paletki z Czerwonym Krzyżem przy białym domku widniał także znak dróżnika.

Stary skinął głową.

– A tak. Wygląda, że będzie tutaj miała więcej roboty jak w szpitalu. Od początku maja już piąty wypadek. Nawet zabici byli. Umiaru ludzie nie znają... Sypię ten piasek, nawet jak trochę deszcz pokropi, ale czy to ustrzeże? Gonią, jakby ich za tymi zakrętami wieczne zbawienie czekało. Ale dziewczucha sprytna w swoim fachu? – ucieszył się z nagła.

– Radzi, że lepiej nie trzeba. Mało kto tak potrafi na punkcie...

– Zawsze ja opatrywałem albo żona, nim nie zachorowała biedaczka... Krysia to jednak co innego, zawsze to uczona siła. Ona w szpitalu była za pielęgniarkę. W samej Zielonej Górze.

– Potem przeniosła się do Międzyrzecza – wtrącił Benek.

– A to już jak matka zachorowała, chciała dziewczucha być blisko, pilnować... Aż zupełnie musiała rzucić robotę, nie wiadomo jak długo to potrwa.

Urwał, jakby nie chciał poruszać więcej bolesnego tematu. Patrzył na żółtą wodę, szumiącą, groźną w tych rozjarzonych blaskach słonecznych, w upale sypiącym się nieprzerwanie na głowy.

– Od wczoraj zarządzili stan pogotowia, worki przysłali, piaskiem w razie czego napelniać. Sto sztuk gotowych, tylko gdzie je tu tkać? Płasko wszędzie, już chyba za pegeerem, tam by mogli swoje ratować.

– U nich też czuwają, kierownik kazał ludziom być w pogotowiu.

– Pewnie, jakby groblę przerwało, to stodoła i spichrze, wszystko w wodzie.

– Do starego pałacu by nie dosięgło, na górze stoi... Żeby pan widział, jaki ten pałac, tam nawet straszy.

– Gadanie, niech pan nie słucha dzieciaka. Benek, pilnuj Lubusza, do wody się pcha.

– Lubusz, a pójdziesz ty! Lubusz!

– Czemu go tak nazwałś? – zaciekawił się Heniek.

– To nie ja. Ten Jurek, co to jest u Mątwiaków, tak poradził. Na pamiątkę, mówił, dawnego głównego miasta w tych stronach...

Wolnym krokiem, mając ledwie czym oddychać, w niesłychanym żarze dobrnęli do białego domku. Dróżnik ze swoją łopatą gdzieś się zawieruszył w obejściu. Benek również pognął swoimi drogami. Heniek stał chwilę, po czym zapukał do drzwi pokoiku na lewo od sionki, w którym opatrywała ich ładna Krystyna.

– Proszę – poznał głos Romana.

Stanął zdumiony w progu. Solecki czuł się już tutaj wyraźnie jak we własnym domu. Oparty o ścianę, z podłożoną pod plecy poduszką, leżał na małej kozetce. Na przysuniętym blisko stoliku stał potężny gar i szklanka, obrzeżona czymś białym. Heniek domyślił się, że to zsiadłe mleko, aż ślinkę przełknął, gardło mu wyschło na tej duchocie.

– Siadaj, brachu, może masz ochotę na mleczko? Tam w szafce stoją szklanki, panna Krysia powiedziała, żeby ciebie ugościć, sama poszła zobaczyć, czy nie pora już na dojenie krowy. Ona tu teraz gospodaruje, zastępuje chorą matkę. Sama jest pielęgniarką...

– Pracowała w Zielonej Górze, a potem w Międzyrzeczu, dopiero gdy ta choroba matki... – ze śmiechem wpadł w jego ton Heniek, łyskając figlarnie ognikami zielonych oczu.

– Mówiła ci sama? – zaniepokoił się dryblas, poruszył gwałtowniej na kanapie.

Udał, że ignoruje pytanie kolegi, wyjął szklankę z szafy, nalał sobie zsiadłego mleka. Zimne było, pił więc ze smakiem, podczas gdy Roman wodził za nim lekko zaniepokojonym wejrzaniem. Dopiero teraz Heniek ze śmiechem zwrócił się do kolegi:

– Nie ona, nie ona... Ojca poznałem. I stryjecznego braciszka, mówię ci, pycha szczeniak. Jeśli chcesz coś wskórać u Krysi, musisz z nim trzymać sztamę...

– Tutaj ja też niewiele pomogę... – zabrzmiał nagle głos Benka.

Wtłaczał się do pokoju razem z drugim chłopakiem w tym samym mniej więcej wieku. Podszedł do Romana, wyciągnął dostojnie rękę.

– Malicki Benek. A pan?

– Roman Solecki... – wykrztusił zaskoczony chory.

– To jest brat Krysi, Tolek. Jak go przydusić, to zda się czasem do czegoś. Trochę maminsynek... – psyknął, bo jasny jak len chłopczyzna mocno kuksnął go w żebro. Benek nie obruszył się, raczej rozpromienił uśmiechem. – To moja szkoła, przedtem ani by co potrafił.

– Do pałacu ja pierwszy polazłem, ty bałeś się – bronił się Tolek.

Czarny Benek wołał udać, że nie słyszy tego przytyku, zmienił temat rozmowy.

– Krystyna teraz krowy doi. Już je ten malec przypędził z pola – wskazał na towarzysza.

– A mówiłem, że niewiele pomogę, dlatego że ona bardzo...

Z oddali dobiegł klakson samochodowy. Chłopcy jednym susem przypadli do okna.

– Doktor pcha się swoim gruchotem.

Heniek podszedł do okna.

– Prawda, że grat. Dekawka, ale chyba jeden z pierwszych modeli. Jeszcze szprychowe koła. Wiele na tym samochodzie doktorek nie wywojuje. Młody jakiś facet, gęba dość przyjemna... Jest i nasza samarytanką. Prędko się uwinęła z krowami. Inna rzecz, klakson od dawna już było słychać...

– Gapisz się jak stara plotkara... Nie wiesz, co chciał ten smarkacz powiedzieć, gdy zaczął, że Krysia coś bardzo...?

Heniek wzruszył ramionami, potem przyjrzał się uważniej koledze.

– A tobie co się stało? Noga na serce padła, tam zabolalo? Roman, niech cię nie znam, tak od razu?

– E, żartuję, podoba mi się dziewczyna nie bardziej od stu innych. Ładna jest i zgrabna, nic więcej. Pogadaliśmy trochę, jakeś się mordował ze starem.

– No, gdzie nasi pacjenci? Dzień dobry, dzień dobry. Jakoś w tradycję już wchodzi, że mam zawsze coś do zrobienia u panny Krysi. Wolę moją dekawkę, na niej i rozbić się trudno, tak niewiele wyciąga. Cóż, wedle stawu grobla. Kowalski jestem...

Usiadł, częstował chłopców papierosami. Gadatliwy był, wesoły, trudno było dać mu więcej ponad trzydziestkę.

– Mówi mi panna Krysia, że nie ma złamania. Szkoda, jako chirurg zaraz lubię ciąć, łamać, zestawiać, gipsować, a tu mnie chyba ominie taka okazja... Ależ parno. Patrzyłem, czy mostu już nie zerwało. Radio zapowiada dalsze burze i gwałtowne opady. Jakaś klęska, u licha. No, zaraz się zabierzemy za nóżkę, pacjent się niecierpliwi...

Podczas gdy lekarz mył ręce, Heniek zerkał na kolegę z tłumionym śmiechem. I on zauważył, że dziewczyna płonila się patrząc na przystojnego i wesołego lekarza.

W otwartym oknie pojawiły się twarze Benka i Tolka, jasna i czarna, bystre, przewiercające wszystko oczyma. Szturchali się porozumiewawczo, tłumili śmiech. Lekarz wycierając dłonie też ich zauważył.

– No co, wisusy?

– Tolek chce być chirurgiem, czy może patrzeć, jak pan będzie odcinał tę nogę?

– Patrzcie, patrzcie, lepiej sięgnę po wasze języki.

– Nie tak łatwo, uciekniemy pana dekawką.

Nachylił się nad nogą Romana, usunął prowizoryczny okład, burknął coś na widok obrzmienia i potężnego sińca, potem dokładnie, cal po calu, obmacywać zaczął wprawnymi palcami. Roman syknął parę razy, spojrzał na dziewczynę i heroicznie zacisnął wargi. Bolała kończyna drgnęła mu jednak gwałtownie.

– Zgadza się diagnoza naszej samarytanki. Zwichnięcie, bardzo zresztą bolesne, a na dodatek jeszcze solidne stłuczenie. Dobra, niech się pan teraz wyciągnie na całą długość. Zaraz nastawimy i niedługo będzie można już tańczyć. Dobry byłby partner, wysoki chłopak, nie tak, panno Krysiu?

Uśmiechnęła się do doktora tak mile, że Roman przetoczył białkami oczu. Zaraz jednak bardziej zainteresował się swoją własną osobą. Leżał już wyciągnięty, ledwie, ledwie starczało kozetki. Lekarz skinął na Heńka.

– Pan może przytrzyma przyjaciela w ramionach, pani tutaj, za kolana. Może trochę zabołec.

– Wauuu! – Cały heroizm poszedł w diabły. W końcu jak komuś nastawiają zwichniętą nogę, może się nie oglądać nawet na bardzo ładną dziewczynę.

Chrzęstnęło, zgrzytnęło, doktor dla sprawdzenia nacisnął dłonią, wyprostował się.

– Gotowe, wskoczyło jak prosię do koryta. Przepraszam, to takie sobie powiedzonko w chirurgii...

– Ja bym się nie darł na jego miejscu jak stare gacie – zza okna dobiegł pełen dezaprobaty głos Benka.

Roman szczerwieniał, spojrzał z pasją ku chłopcom, reszta towarzystwa nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Doktor zerknął na zegarek.

– Muszę się śpieszyć. Pacjenci w Sulęcinie czekają. Tam nie ma chirurga, więc muszę dojeżdżać... Panno Krysiu, naszemu choremu solidny bandaż elastyczny, ma pani? Bo w razie czego znajdę u siebie w wozie. Pan zaś przez trzy dni w ogóle niech unika poruszania się, następne trzy – leciutki spacer. Bandaż co drugi dzień przewinać... Oho, grzmi, znów jakaś burza się zwali, żeby tylko nie w drodze. Przed dwoma dniami godzinę czekałem na szosie, w ulewie na metr nic nie było widać. Pan jest związany czasem? – zwrócił się do Romana.

– Nie... my autostopem.

– Tym lepiej. Niech się pan postara ulokować gdzieś w pobliżu, każdy ruch może bowiem zaszkodzić... Już panna Brelińska jakieś locum panu wyszuka. Do widzenia, myślę, że jeszcze się zobaczymy... Pani może wyjdzie ze mną, ten bandaż elastyczny...

Heniek i Roman spojrzeli po sobie.

– To ci bal – powiedział Kubiak. – Że też ja jeszcze muszę do Koszalina... Za trzy dni wrócę. Tyle, że jeszcze cię ulokuję.

– Pojadę z tobą. Nie chce mi się zostawać.

– Dlatego że ta dziewczyna łakomie ogląda się za doktorem? On był pierwszy, teraz masz czas odbić mu Krysię...

– Pleciesz bzdury. Co ja tu będę robił? I gdzie się podzięję? Z forszą też krucho, mieliśmy próbować zarobić gdzieś parę stówek. Ale z tą nogą? Chyba brydża będę kogoś uczył w wiosce...

– Zaraz się wszystko wyjaśni... Już doktor pojechał, czekajmy na ładną pocieszycielkę. Jakoż i wpakowali się całą trójką, córka dróżnika i obaj smarkacze.

Heniek bohatersko przejął na siebie trud ulokowania chorego kolegi.

– Zaczna opiekunko, doktor odjechał, ale chory pozostał. Ma przed sobą cały tydzień zdrowotnego urlopu, nim znów będzie mógł czepiać się ciężarówek i oczekiwać na kraksy... Niechże pani doradzi, gdzie by go można umieścić.

Przysiadła na krześle. Zarumieniona była, w oczach jakby rozmarzenie. Heniek pomyślał, że solidnie musi być zakochana w swoim doktorze, te rzeczy się czuje...

– Zastanawiam się. U nas ciasno, zresztą byłoby panu nudno.

– Nudno? – z niepomiernym zdumieniem zapytał Roman.

– Ty się, Kryśka, bardzo temu panu podobasz – wtrącił Benek z całą powagą.

Chwila ogólnego milczenia, potem nieudolny śmiech Romana, wesołość Heńka, znaczące poszturchiwania dwóch wisusów.

– Wyoście się stąd, nie przeszkadzajcie starszym – syknęła zarumieniona po białka dziewczyna.

– O, taka tam i dorosła. Tylko o parę lat jesteś starsza, dopiero ci osiemnaście minęło. W naszym wieku taka różnica już się nie liczy – zaoponował urażony Benek. – A bo ja kłamię, czy co? Możesz się podobać, sama wiesz, że jesteś ładna. Mało to czasu stoisz przed lustrem, brwi podskubujesz, gębę wykrzywiasz?

Heniek za brzuch się trzymał, Roman i dziewczyna starali się o miny pełne godności.

– Dobrze już, dobrze – oganiała się dłonią przed smarkaczami. Wyraźnie bała się ich czymś ponownie urazić. – Tylko gdzie my pana ulokujemy? Benek, może ty znajdziesz?

– Pewnie, że znajdę – odpowiedział z rezonem. – U nas. Jest dosyć miejsca, jeść się też znajdzie, wielka to rzecz, dla jednego więcej. A my będziemy jeździli na ryby, do jeziora tylko parę kroków, tyle pan przejdzie, no nie? – zwracał się do Romana.

Biedny Solecki bezradnie potakiwał swą długą twarzą gotów w rezygnacji na wszystko.

– Świetna myśl – klasnęła w ręce wybawiona z kłopotów dziewczyna. – U stryjka Wojciecha jest miejsce, on sam lubi gości. To rybak, ziemi ma ledwie parę hektarów. Z jeziora żyje. Mieszkają na przesmyku, między jeziorami, las wokoło, ślicznie tam...

– Kryśka, nie zachwalaj panowie sami zobaczą.

– Ja to nie, jeszcze dzisiaj muszę odjeżdżać. Ale za kilka dni powrócę – wtrącił się Heniek.

– Spotkanie z ukochaną ma w Koszalinie – ze zjadliwością zasypał Roman kolegę.

Krystyna z życziwością spojrzała w zielone oczy Kubiaka.

– Jeżeli tak, pewnie że ona nie może czekać. Jakoś tu poradzimy. Pojutrze przyjdę na zmianę opatrunku. Potem już Benek panem się zajmie. Tylko jak się tam dostać, to blisko sześć kilometrów?

– Mucha. Ja to załatwię – Benek najwidoczniej zaplanował już wszystko. – Zaraz śmigam do Józka, wiem, skąd wożą ten potas. Jak będą wracać, zabiorą pana, nic to... No to cześć.

Już go nie było. Za nim jak cień wyśmignął Tolek. Kubiak dostrzegł jeszcze przez okno, jak gniotąc się na jednym rowerze gnali gdzieś polną drogą.

Odetchnął z ulgą. Najważniejsze, że Romana się ulokuje. Pojedzie z nim razem, potem wróci na szosę szukać okazji do Koszalina. Byle do Gorzowa, duże miasto, stamtąd będzie już łatwiej.

Dziewczyna przeprosiła, że musi do gospodarstwa, tym bardziej że znowu zaciągało na deszcz.

Grzmoty przewalały się coraz bliżej. Wraz z nimi nadciągała od południa nisko zawieszona nad ziemią złowieszczą chmura. Zerwał się porywisty wiatr.

– I co ty na cały ten jubel? – zapytał Roman.

– Zobaczmy, co dalej, podobno w historii o wszystkim decydowały przypadki – filozoficznie odpowiedział Heniek, ale myślał już w tej chwili jedynie o Zosi, z którą umówił się w Koszalinie.

Z nowym uderzeniem wichury sypnął deszcz, bębnił chwilę o szybę, potem lunął jedną wielką masą wody. Zrobiło się ciemno i ponuro. Heńkowi przypomniały się obawy starego dróżnika. Bez słowa patrzył na żywioł hulający za oknem.

3.

– Kiedy mi Benek powiedział co i jak, tom zaraz zawołał: dawaj go tutaj, dawaj! Pogadamy wieczorem, mniej nudno będzie – mówił basem gospodarz. Zaraz zresztą dodał wyjaśniająco: – Co prawda, na nudę czasu brak, zawsze coś się tu dzieje, jeszcze jak ja dwie sroki łapię za ogon, roli chcę pilnować i do rybactwa ciągnie.

– Tata kiedyś daleko mieszkał od wody, tutaj dopiero tak mu się spodobało.

Benek miał minę niezmiernie zadowoloną. Skołtunione ciemne włosy opadały mu na czoło, odgarniał je niecierpliwym ruchem umorusanej dłoni. Oczy śmiały się do ojca i Romana.

– Niby prawda... Daleko my od wody siedzieli w Oszmiańskim. Żona to bała się na początku między dwoma jeziorami, bo to na wiosnę jak rozleje, ani przejść przez bagniska. Prawie jak teraz, do nas fala jeszcze nie doszła, ale w innych stronach, słysząc, prawdziwa powódź. Znowu deszczem zaciąga, kara niebieska czy jak?

Pogoda poczyniała sobie rzeczywiście jak zwariowana. Gdy w parę godzin po pierwszej wieczornej rozmowie Roman wygodnie wyciągnięty na łóżku nasłuchiwał wściekłych uderzeń wichru, gdy słyszał, jak woda wali o ziemię kaskadą, niesie się pluskiem i szemraniem wezbranej fali, gotów był naprawdę sądzić, że to jakieś zaziemskie wyroki pragną doświadczyć skołatany świat.

Długo nie mógł usnąć. Może wpływała na to pogoda, może bogate wrażenia minionego dnia, dosyć że przewracał się na miękkim puchowym posłaniu, odrzucał kołdrę, parno było bowiem niesamowicie, ocierał pot z twarzy, wracał do przeżyć dopiero minionych godzin.

Benek spisał się doskonale. Uzyskał zgodę rodziców na przyjęcie pod dach niefortunnego autostopowicza, piegowaty traktorzysta równie chętnie przewiózł chwilowego kalekę na nowe miejsce pobytu. Heniek, towarzyszący koledze, aż jęknął wtedy z zachwytem.

Było co podziwiać. Po niedawnej huraganowej fali deszczu, pod zachód, słońce wyjrzało ponownie zza chmur, krwawymi płatami rozeszło się na jeziorze, różem zabarwiło ciemną zielenią okolicznych lasów, zażółciło na piachu wysokiego pagóra, jak znak rozpoznawczy rozsiadłego po przeciwległej stronie wodnego rozlewu.

Umieszczony na wysokiej podmurówce dom rodziców Benka stał tuż nad przesmykiem łączącym dwa jeziora. Plamy krzaków wierzby i łoży znaczyły bieg naturalnego kanału. Szerokimi płatami rozpościerały się wokół soczyste łąki, wnikać w ciemniejszą zielen sosnowych lasów, gęsto przysiadłych na jałowej, piaszczystej ziemi.

Wzdłuż brzegu kanału suszyły się rozpięte na drągach sieci, przy podmywanym wodą pomoście kołysały łódki, wabiła zawartością wielka skrzynia do przechowywania żywcem złowionej ryby.

– Roman, los wygrałeś na loterii. Wracam jak najszybciej, musimy tu dłuższy czas pobobrować – wykrzyknął Heniek. – Trochę dosyć mam autostopu, trzy tygodnie ganiań chyba wystarczy, jak myślisz?

Solecki wymownie zerknął na obandażowaną nogę.

– Może i dosyć – powiedział pojednawczo, sceptyczny zawsze wobec wszystkiego, co w Kubiaku potrafiło wywołać ciełą zachwyty.

Benek był nieoceniony. Wywiedział się, że ciężarówka z PGR-u wyrusza na noc do Gorzowa. Kierowca chętnie się godził na pasażera, nie będzie przynajmniej sennie w szoferce. Zresztą przy tych ulewach we dwójkę różnie, mało to się może wydarzyć?

Trafił też im do przekonania gospodarz. Malicki, ojciec Benka, nie tak dawno jeszcze przekroczył czterdziestkę, czerstwy był, żyłasty, jeden z tych chłopów, których wedle przysłowia, podobnie jak zająca, i kijem nie dobijesz. Takiego właśnie trzeba było na tę placówkę wśród lasów, bagien i jeziornych roztoczy. Życie tu nie głaskało, to pewne, ale nie było też monotonne, wabiło swoistą loterią. Nigdy nie wiadomo, jak łąki obrodzą, mając zaś mało ziemi, piaszczystej w dodatku, zrobił się Malicki hodowcą, pięć krów trzymał, było przy tym dla żony niemało roboty. Albo ryba. Nadejdzie taki rok, że jak zaczarowana, sama nieledwie się garnie do sieci. Kiedy indziej znów w oczach ciemnieje z wysiłku, dzień mija za dniem, a wontony i drgawice, i żaki puste, jakby kto wymiół.

Sam gospodarz trochę opowiedział, więcej uzupełnił Benek, wiedzieli już, że pan Wojciech – tak prosił, by go nazywać – parę lat na Wileńszczyźnie w partyzantce wojował, potem dostał się do oddziałów generała Berlinga, z Pierwszą Armią zdobywał Wał Pomorski, flagę zatykał w Kołobrzegu... Rozochocił się, gdy Heniek napomknął o Koszalinie. Znał to miasto jeszcze z czterdziestego piątego roku, ani poznać teraz, tak się rozrosło i odnowiło. Zamyślał nawet osiąść nad morzem, ale potem namówił go stary Piotr Wikswa, brygadierem jest w ich rybackim zespole, i tutaj przywędrowali. I chwałą sobie, ciekawe życie...

Żona gospodarza, mała i zwinna, czarna jak Benek, do niej był łobuz podobny, w przeciwieństwie do męża małowówna była, ale uprzejma. Zatrąszyła się o Romana, aż się poczuł zażenowany, jedzeniu nie mogli ani on, ani Heniek poradzić, choć w autostopowych tarapatkach wypościli się nieraz porządnie. Tłusta jajecznicą z nieprawdopodobną ilością mleka wykończyła ich bez reszty. Heniek nie bez przyczyny się trapił, jak to on pojedzie na trzęsącej się ciężarówce.

Przewracał się Roman z boku na bok, rozmyślając nad tym wszystkim, to znów nasłuchując odgłosów ulewy za oknem. Noga zaczęła mu mocniej doskwierać. Ułożył ją wygodniej, przyszła mu na myśl pielęgniarka z przydrożnego punktu PCK. Pojawi się pojutrze, zmieni opatrunek... Ładna, aż dziw, że spotka się nagle taką na głuchej wsi. Jasne włosy, upięte coś jakby w kok, ale z indywidualną swobodą, nie każdą dziewczynę stać na własny styl. Niebieskie oczy, duże, z długimi rzęsami. Twarz drobna, dołeczki na często rumieniących się policzkach, mały nosek drga śmiesznie i marszczy się, jakby u zająca. Pewnie, chcąc, znajdzie się takich tuziny. Tyle że ta Krysia piekielnie w dodatku zgrabna. Wysoka, szczupła, nic dodać, nic ująć, zaiste konkursowe wymiary.

Miło było przywoływać w pamięci obraz czupurnej i energicznej dziewczyny. Ładne te oczy, wyrazista oprawa. Jak nimi wodziła za lekarzem. A może się im tylko zdawało? Ten

smarkacz, jakże mu, Benek, pewnie chciał jej tylko dokuczyć... Niebieskie oczy, niebieskie...

Wszystko się zrobiło w końcu niebieskie, tak błękitne jak oczy Krysi. Lasy i wody, ten pokój cichy, spokojny, oddzielony od porywów wichru siekącego ulewnym deszczem, delikatna poświata sącząca się przez okno też była niebieska... Aż wreszcie wszystko zapadło w mocny, błękitny sen.

Ocuł go szmer za oknem. Leniwie otworzył oczy, tak dobrze się tonęło we śnie w głębokim łóżku... Jasno było w pokoju, za szybą mignęła ciekawa pyzata gęba, może mu się tak zresztą tylko zdawało. Znowu opuścił powieki. Chory jest, ma prawo do snu. Przez trzy tygodnie mało kiedy wysypiali się porządnie. Mocno się obaj różnili usposobieniem i charakterami, jedno wszak mieli wspólne: gnało ich do przodu jak opętanych. Pasowali jakoś do siebie, ani by im to przez myśl przeszło w tej pierwszej chwili, gdy w oczekiwaniu na środek lokomocji zawarli znajomość, siedząc pod Pabianicami w przydrożnym rowie. Heniek zaczynał rajzę z rodzinnego Poznania, on z Warszawy. Zabrała ich wtedy piękna wołga lekarza repatrianta. Już się od tej chwili nie rozstawali.

Tak, teraz wiedział na pewno. Ta pyzata gęba za oknem to oczywiście Benek. Pewnie doczekać się nie może, aż gość podniesie powieki. Trochę go to zezłościło, pętał zbytnio się spoufala, że jednak przypomniał sobie przysługi oddane im wczoraj przez chłopca, udobruchany pokiwał dłonią ku uśmiechniętej twarzy za oknem.

– Zaraz lecę do pana – odpowiedział okrzykiem.

Nie pukając, szeroko rozwarł drzwi, stanął w nich promienny, zachwycony sobą i światem.

– Jak noga? Tata przysyła łapcie łykowe, podobno w Oszmiańskim takie nosili, phi, phi, że to, mówił, łatwo będzie włożyć na chorą girę. Mama już robi śniadanie, potem jedziemy na wodę. Robaków nakopałem, wędki gotowe, krasnopióry dobrze biorą na wielkiej wodzie. A u nas wylało, woda już na podwórku, na wieczór pewnie się sucho nie przejdzie.

– Dość, dość – Roman ze śmiechem krył uszy w dłoniach.

Wydało mu się, że ból w nodze ustał zupełnie, brednie plótł lekarz z tym całym tygodniem kurowania. Mocno stanął na podłodze, w tej samej chwili zasyczał jak przydeptana żmija. Bolało.

– Pokaż te łapcie – wyciągnął rękę.

Ostrożnie przedreptał parę kroków. Trudno, ale z biedą można się było poruszać.

– Mama, śniadanie! – ryczał Benek w głąb domu.

– Czekał, umyć się chcę...

– Wody po uszy, nawet na podwórku – wskazał chłopak na okno.

Wyjrzał. Ani śladu wczorajszej rzeczulki. Wszędzie na łąkach rozpościerało się jezioro, upstrzone kępami wierzby i łozy, gnącej się na wietrze marszczącym spienioną płaszczyznę wody.

– Widzi pan, co się zrobiło? – blada, niespokojna przywitała go gospodyni. – Radio podawało, że powódź koło Żagania i Żar aż pod Krosno. Wylały Bóbr i Kwisa...

– Także Czarna Wielka i Mała. Odra też wzbiera, pogotowie po naszej i po niemieckiej stronie. Elektrownie zagrożone. U nas na Bobrze źle być może z Dychowem.

– O, Benek wie lepiej – z uznaniem spojrzała na syna. – Męża nie ma, poszedł do gromady, ogłoszono stan alarmowy. Przy Odrze już jest podobno wojsko.

– Saperzy.

– To, to. Mówił mąż, jeżeli nas nawet zaleje wokoło, żeby się nie przejmować. Tylko łódki podciągać wtedy pod dom. Już Benek tego pilnuje.

– Mucha nie siada, poradzi się.

– Proszę, smaczno. Ja muszę do krów. I tak szczęście, że właśnie przed tygodniem drugi pokos siana zebraliśmy. Stogi na wyższych miejscach, chyba woda nie zniesie. Bo to wie pan, dla nas krowy cały majątek...

– Matka zawsze taka strachliwa, ale poza tym idzie z nią wytrzymać – rzeczowo skonstatował Benek po jej wyjściu. – Ja to się cieszę na tę wodę, nigdy jeszcze nie widziałem powodzi.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI